

The book cover features a watercolor-style illustration of a dark, dense forest with bare, black tree branches. The ground is a mix of blue and yellowish-brown, suggesting a path or a clearing. In the distance, a small, silhouetted figure of a person stands on a path. The overall mood is mysterious and atmospheric.

Lauren Wolk

ROK,
W KTÓRYM
NAUCZYŁAM SIĘ
KŁAMAC

DWIE SIOSTRY

Lauren Wolk



**ROK,
W KTÓRYM
NAUCZYŁAM SIĘ
KŁAMAĆ**

z języka angielskiego przełożył
Sebastian Musielak



Wydawnictwo Dwie Siostry
Warszawa 2020

Dla mojej matki



Prolog

Tamtego roku, kiedy skończyłam dwanaście lat, nauczyłam się kłamać.

Nie mówię tu o niewinnych kłamstewkach, które zdarzają się dzieciom. Mówię o prawdziwych kłamstwach wyrosłych z prawdziwego strachu — o słowach i czynach, które wyrwały mnie z dotychczasowego życia i bez pardonu rzuciły w zupełnie nową rzeczywistość.

Zawirowania w moim spokojnym życiu zaczęły się jesienią 1943 roku, nie tylko z powodu wojny, która wciągnęła cały świat w straszliwą burdę, lecz również z powodu dziewczynki o mrocznym sercu, której pojawienie się w naszej pagórkowatej okolicy zmieniło wszystko na zawsze.

Czasem miałam taki mętlik w głowie, że czułam się jak papierowy wiatraczek w oku cyklonu, lecz przez cały ten niespokojny czas wiedziałam, że chowanie się na stryszku stodoły z książką i jabłkiem to nie dla mnie — nie mogę tak po prostu pozwolić, by sprawy toczyły się coraz szybciej bez mojego udziału. Nie mogę skończyć dwunastu lat i do tego czasu nie pokazać, na co mnie stać — przez co rozumiałam wywalczenie swojego miejsca w świecie, swojej małej autonomii i szansy na to, by jeszcze kiedyś móc kimś być.

Tu jednak gra toczyła się o znacznie wyższą stawkę.

Tamtego roku, kiedy skończyłam dwanaście lat, nauczyłam się, że moje słowa i czyny mają wagę.

I bywały tak ciężkie, że wcale nie miałam pewności, czy chcę ten ciężar dalej dźwigać.

A jednak dźwigałam go i niosłam dalej — najlepiej, jak umiałam.



Rozdział 1

Zaczęło się od porcelanowej świnki, którą ciotka Lily podarowała mi w moje piąte Boże Narodzenie.

Mama pierwsza zauważyła, że świnka gdzieś przepadła.

— Chowasz swoją skarbonkę, Annabelle? — Mama szorowała lampy, ja wkładałam do szafy letnie ubrania. Nietrudno było spostrzec brak świnki, bo w swoim pokoiku na piętrze oprócz mebli i okien miałam tylko grzebień, szczotkę i książkę przy łóżku. — Nikt nie ruszy twoich rzeczy — powiedziała. — Nie musisz niczego chować.

Mama klęczała pod ścianą i trzęsła się cała w rytm szorowania, podeszwy czarnych gumiaków zwróciła teraz dla odmiany w górę.

Byłam bardzo rada, że nie mogła wtedy zobaczyć mojej twarzy. Składałam właśnie obrzydliwie różową sukienkę do kościoła, z której miałam nadzieję do wiosny wyrosnąć, i wyobraziłam sobie, że moje policzki nabrały wtedy tego samego okropnego koloru.

Parę godzin wcześniej po powrocie ze szkoły chwyciłam skarbonkę i zaczęłam wytrząsać z niej centówkę, no i wypuściłam ją z rąk. Świnka zamieniła się w stos skorup i monet, które wrzucałam do niej od lat — musiałam ich już zbierać dobre dziesięć dolarów. Skorupy zakopałam za ogródkiem, a monety zebrałam na starą chusteczkę do nosa, po czym związałam rogi i ukryłam zawiniątko w śniegowcu pod

łóżkiem, razem ze srebrnym dolarem z kolekcji dziadka, który dostałam od niego na ostatnie urodziny.

Tej srebrnej dolarówki nigdy nie wrzuciłam do świnki, bo nie był to dla mnie pieniąż. Wyobrażałam sobie, że to medalik, który pewnego dnia założę na szyję — a wszystko za sprawą widniejącej na monecie pięknej kobiety, wyniosłej i poważnej w swej spiczastej koronie.

I powiedziałam sobie, że może się rozstanę z tą centówką, może nawet niejedną, lecz srebrnego dolara dziadka nigdy w życiu nie oddam tej okropnej dziewczynie, która będzie na mnie czekać na ścieżce prowadzącej do Wilczego Jaru.

Idąc do szkoły z braćmi — dziewięcioletnim Henrym i siedmioletnim Jamesem — codziennie schodziłam ścieżką do Wilczego Jaru i wracaliśmy do domu tą samą drogą. I to właśnie tam miała na mnie czekać po szkole trochę starsza ode mnie, duża i zadziorna dziewczyna o imieniu Betty.

Przysłali ją z miasta do dziadków, państwa Glengarrych, którzy mieszkali ponad stromym brzegiem potoku Raccoon Creek, po drugiej stronie drogi, zaraz za zjazdem do naszej farmy. Bałam się jej od pierwszego dnia, kiedy pojawiła się w naszej szkole, czyli od trzech tygodni.

Krały plotki, że Betty została wysłana na wieś z powodu n i e - s u b o r d y n a c j i, i aż musiałam sprawdzić w szkole w wielkim słowniku, co to słowo znaczy. Nie wiedziałam, czy umieszczenie Betty na farmie dziadków miało być dla niej karą czy raczej szansą na jakąś poprawę, lecz tak czy owak uważałam, że zwalenie jej nam na głowę było bardzo nie fair — nie zrobiliśmy przecież nic aż tak straszego, żeby sobie na to zasłużyć.

Betty pojawiła się w naszej szkole pewnego ranka bez żadnych fanfar i słowa wyjaśnienia. Było nas tam już wtedy prawie czterdzieścioro, czyli znacznie więcej, niż pierwotnie zakładano, przez co niektórzy musieli siedzieć parami — dwójka uczniów w jednej wąskiej ławce, dwójka do pisania i liczenia na jednym pochylonym i pokiereszowanym pulpicie, w skrytce pod blatem dwa zestawy podręczników.

Nie przeszkadzało mi to specjalnie, bo dzieliłam ławkę z moją przyjaciółką Ruth, bladą i cichą dziewczynką o ciemnych włosach i karminowych ustach, która zawsze chodziła w nienagannie wyprasowanych sukienkach. Ruth, tak jak ja, uwielbiała czytać i ta wielka pasja nas łączyła. No a do tego obie byłyśmy bardzo chude i regularnie się kapałyśmy (czego nie można powiedzieć o wszystkich uczniach szkoły w Wilczym Jarze), tak więc siedzenie z nią w jednej ławce nie było takie złe.

Kiedy tamtego dnia Betty zjawiła się w naszej szkole i stanęła w drzwiach klasy, przywitała ją nasza nauczycielka, pani Taylor.

— Dzień dobry — zwróciła się do niej, ale Betty nie odpowiedziała, skrzyżowała tylko ramiona na piersiach. — Dzieci, to jest Betty Gleggarry.

Pomyślałam wtedy, że to nazwisko brzmi jak z piosenki.

Pani Taylor oczekiwała, że i my powitamy nową uczennicę, co też zrobiliśmy. Betty powiodła po nas spojrzeniem bez jednego słowa.

— Mamy tu trochę ciasno, Betty, ale znajdziemy miejsce dla ciebie. Palto i śniadaniówkę zostaw na wieszaku.

Patrzyliśmy w milczeniu, gdzie też pani Taylor posadzi Betty, zanim jednak nasza nauczycielka zdążyła coś przedsięwziąć, chuda dziewczynka o imieniu Laura, która najwyraźniej wyczuła, co się

święci, zebrała książki z ławki i wcisnęła się obok swojej przyjaciółki Emily.

I w tej ławce od tej pory siedziała Betty. A że siedziała tuż przed ławką moją i Ruth, już po dwóch dniach miałam włosy upstrzone kulkami z przeżutego papieru i nogi pokłute od ołówka, którym Betty sięgała za siebie i dźgała mnie gdzie popadnie. Nie byłam z tego powodu szczęśliwa, cieszyłam się jednak, że wzięła na celownik mnie, a nie Ruth, która była mniejsza i bardziej delikatna. Poza tym miałam braci, którzy wystawiali mnie na próby znacznie gorsze niż te, a Ruth w ogóle nie miała rodzeństwa. Przez pierwszy tydzień po przyjeździe Betty mówiłam sobie, że jakoś przetrwam te drobne napaści, spodziewałam się bowiem, że będą coraz rzadsze.

W innej szkole nauczycielka pewnie widziałaby to wszystko, ale pani Taylor ufała, że cokolwiek dzieje się za jej plecami, nie jest warte jej uwagi.

Ponieważ uczyła nas wszystkich, ławki ścieśnione pod tablicą były zawsze zajęte przez klasę, która akurat przerabiała z nią lekcję, a w tym czasie pozostali siedzieli na swoich miejscach i robili zadania, dopóki nie przyszła ich kolej na zajęcie miejsc przy katedrze.

Niektórzy starsi chłopcy spali przez większą część dnia. Kiedy budzili się na swoje lekcje pod tablicą, zupełnie nie kryli pogardy dla pani Taylor, która — jak mi się zdaje — poświęcała im chyba mniej czasu niż innym. Byli to już rośli młodzi ludzie i pomagali rodzicom w gospodarstwie, więc nie rozumieli, po co im szkoła, skoro nikt im tam nie mówi, jak siać, żąć i wypasać bydło. I na bank wiedzieli, że jeśli zdążą dorosnąć, zanim skończy się wojna, nie będą mieli z tej szkoły żadnego pożytku w walce z Niemcami. Praca na farmie i przy bydle mogła im zapewnić zwolnienie z frontu, bo kar-

miła żołnierzy, albo dać im siły do walki, ale szkoła nie dawała im nic.

Mimo to w najzimniejsze miesiące roku rodzice pędzili ich do robót trudnych i żmudnych — musieli naprawiać płoty, dachy obór i koła wozów. Jeśli więc mieli do wyboru cały dzień próżnowania, spania na pulpitach i rozrabiania z innymi chłopakami na przerwach zamiast tyrania na dworze w lodowatym wietrze, na ogół wybierali szkołę. Pod warunkiem, że ojcowie ich do szkoły puszczały. Ale kiedy Betty zjawiła się u nas, był październik i dni jeszcze ciepłe, więc te najgorsze rozrabiaki chodziły na lekcje w kratkę. Gdyby nie Betty, nasza szkoła byłaby oazą spokoju — przynajmniej do listopada, kiedy świat stanął na głowie i musiałam znacznie rozwinąć swój repertuar kłamstw.

Wtedy nie znałam jeszcze słowa, które właściwie opisałoby Betty, i nie umiałam nazwać tego czegoś, co odróżniało ją od innych dzieci w naszej szkole. W niecały tydzień zapoznała nas z kilkunastoma wyrażeniami, których znajomość nie była nam do niczego potrzebna, wylała cały kałamarz atramentu na sweterek Emily i opowiedziała maluchom, skąd się biorą dzieci, czego ja dowiedziałam się od babci niewiele wcześniej, bo poprzedniej wiosny, kiedy ocielili się nasza krowa. Wiedza ta spłynęła na mnie łagodnie, bo babcia umiała przekazywać ją z wdziękiem i poczuciem humoru kobiety, która sama rodziła, a wszystkie jej dzieci bez wyjątku przyszły na świat w tym samym łóżku, w którym spała z dziadkiem. Jednak na najmłodsze dzieciaki w mojej szkole wiedza ta wcale nie spłynęła łagodnie. Betty wyłożyła ją brutalnie. Napędziła im okropnego stracha. I na domiar złego zapowiedziała im, że jak nakablują na nią rodzicom, to po szkole pójdzie za nimi do lasu i ich spierze na kwaśne jabłko — tak jak później mnie. Albo nawet zabije. A one jej uwierzyły, zupełnie tak samo jak ja.

Mogłam grozić braciom nagłą śmiercią i posiekaniem na kawałki sto razy na dzień, a oni tylko śmiali się ze mnie i pokazywali mi język, ale z Betty wystarczyło, że ledwie na nich spojrzała, a zaraz byli jak trusie. Więc pewnie i tak niewiele by mi pomogli, gdyby byli ze mną tamtego dnia w Wilczym Jarze, kiedy Betty wyszła zza drzewa i zagroziła mi drogę.

Gdy byłam mała, spytałam raz dziadka, skąd się wzięła nazwa Wilczy Jar.

— Ludzie kopali tam kiedyś głębokie doły, żeby łapać wilki — odpowiedział.

Dziadek był jednym z ośmiu mieszkańców naszej farmy, należącej do rodziny od stu lat, przedstawicielem najstarszego z trzech pokoleń sfłoczonych pod jednym dachem po wielkim kryzysie, który mocno odchudził cały kraj i udowodnił, że nasza farma jest najlepszym miejscem do życia na ziemi. Teraz, kiedy na świecie szalała druga wielka wojna i brakowało jedzenia, bardzo wielu ludzi uprawiało przydomowe ogródki, a nasza farma była jednym wielkim ogrodem, który mój dziadek pielęgnował przez całe życie.

Był człowiekiem poważnym i zawsze mówił mi prawdę, której nie zawsze chciałam słyszeć, ale czasem pytałam i tak. Kiedy więc chciałam się dowiedzieć, skąd się wzięła nazwa Wilczy Jar, odpowiedział mi szczerze, choć miałam wtedy zaledwie osiem lat.

Siedział w kuchni na krześle niedaleko pieca, łokcie wsparł na kolanach, dłonie zwisały mu swobodnie z wielkich nadgarstków, białe stopy były gotowe wsunąć się w buty. W inne pory roku wyglądał młodziej, oczy miał jakby szerzej otwarte. Ale w tamten poranek, choć był dopiero czerwiec, wydawał mi się skonany. Górna część czoła była

biała jak stopy, za to nos i policzki miał brązowe jak ręce i ramiona do miejsca, do którego podwijał rękawy. Wiedziałam, że jest bardzo zmęczony, choć większą część dnia siedział w cieniu, zajmując się drobniejszymi pracami.

— Po co chcieli łapać wilki?

Przecież nie da się ich wydoić. Ani zaprząć do pługu. Ani zjeść na kolację. Jakoś nie mogłam sobie tego wyobrazić.

— Żeby się ich tyle nie pałętało po lasach.

Nie patrzył na mnie. Patrzył na swoje dłonie. Mimo że były twarde jak garbowana skóra, u nasady kciuków powychodziły mu pęcherze, kiedy pomagał przy sadzonkach mojemu tacie.

— I żeby nie zjadały kur? — spytałam. Czasami nad ranem budziły mnie krzyki mamy, kiedy do naszego kurnika przekopał się lis. Nie byłam pewna, czy nawet moja mama popędziłaby za wilkiem tak jak za lisem.

— Między innymi. — Dziadek wyprostował plecy i potarł oczy. — Wtedy już ludzie nie polowali na wilki tak jak w dawniejszych czasach. Więc było ich za dużo i na za dużo też zaczynały sobie pozwalać.

Pomyślałam o dole pełnym wilków.

— Zabijali je, kiedy już tam wpadły?

Dziadek westchnął.

— Strzelali je. Uszy zabierali, bo nagroda była. Trzy dolary za parę.

— Uszy? A jak były młode, to brali je do domu?

Kiedy dziadek się śmiał, nie było go prawie słyhać. Podrygiwały mu wtedy tylko ramiona.

— Myślisz, że taki wilk dogadałby się z psami?

Na farmie była zawsze cała sfora psów. Nie umiałabym sobie wyobrazić gospodarstwa, po którym nie biegałoby sześć czy siedem

hałaśliwych czworonogów. Raz na jakiś czas któryś gdzieś przepadał, ale niedługo potem jego miejsce zajmował nowy pies.

— Przecież mogli te młode wilki właściwie wychować. Zrobić z nich psy.

Dziadek założył szelki na ramiona i zaczął wciągać skarpety na nogi.

— Wilk to wilk i nigdy psem nie będzie, choćby nie wiem jak go wychowywać — odrzekł mi wtedy.

Kiedy wzuł i zasznurował buty, wstał i położył mi na głowie wielką dłoń.

— Młode też zabijali, Annabelle. Pewnie się nad tym nawet nie zastanawiali. Przypomnij sobie, czy choć drgnęła ci powieka, jak na wiosnę zdeptałem tego małego mokasyna.

Pamiętałam, że na ciele martwego węża zachował się ślad po bucie, jakby był z gliny.

— Mokasyny są jadowite, a to duża różnica — sprzeciwiłam się.

— Nie dla tego węża — odrzekł mi na to. — Ani Boga, który go stworzył.

Tytuł oryginału: *The Wolf Hollow*

© Copyright 2016 by Lauren Wolk

© Copyright for the Polish translation by Sebastian Musielak, 2019

© Copyright for this edition by Wydawnictwo Dwie Siostry, 2019

© Copyright for the illustrations by Wydawnictwo Dwie Siostry, 2019

wydanie I

ISBN 978-83-8150-147-7

wydawnictwodwiesiostry.pl

Przekład: Sebastian Musielak

Redakcja: Ewa Polańska

Korekta: Małgorzata Kuśnierz

Projekt okładki: Aleksandra Cieślak

Skład wersji elektronicznej: Tomek Domański

Ta książka jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy o przestrzeganie praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Wydawnictwo Dwie Siostry sp. z o.o.

al. 3 Maja 2 m. 183

00-391 Warszawa

Biblioteki, szkoły, przedszkola, księgarnie i inne instytucje zainteresowane ofertą specjalną zachęcamy do kontaktu z działem handlowym (handlowy@wydawnictwodwiesiostry.pl, +48 577 888 278).